

Teksty Drugie 2010, 3, s. 6-10



Gry słów.

Anna Nasiłowska

Gry słów

Poruszając się po liniach wyznaczonych przez tematy i główne problemy zarysowane przez autorów tego numeru, można by westchnąć: jaka szkoda, że polityka ma z estetyką tylko „coś” wspólnego, a nie – więcej! Na dodatek proces jest bardzo skomplikowany i nawet w istotnych z politycznego punktu widzenia mediach niemożliwy do omówienia bez istotnych strat intelektualnych. Dowody na to, że estetyka jest kluczową kategorią dotyczącą literatury, nie wydają się potrzebne, rzecz jest na tyle oczywista i bezsporna, iż nie trzeba poświęcać jej wiele uwagi. Nieco trudnej mówić o wymiarze etycznym i poznawczym dzieł, ale i to należy do kanonu rozważań. Tu co jakiś czas odnawia się po prostu zestaw filozoficznych inspiracji.

Działanie polityczne w epoce medialnej staje się coraz bardziej wojną na słowa, które stworzyć mają system zamknięty, w obrębie którego znaczenia układają się w wyrazisty wzór binarnych opozycji. Język debaty politycznej ma tendencje do logiki dwuwatrosćowej. Jeśli coś jest złe, to dobre musi być przeciwieństwo i najlepiej, gdy same użyte słowa mają zabarwienie emocjonalne pejoratywne lub pozytywne. W żadnym wypadku nie wchodzi w grę wyjście bardziej skomplikowane, przewidujące liczne wyjątki i cieniowanie, bo taka odpowiedź stanie się mało wyrazista, rozmyta i na tle przesytu informacyjnego – zniknie. Język mediów lubi dobre lub złe, czarne lub białe, ewentualnie jeszcze – czerwone. To tylko w rzeczywistości jakieś wyjście może być dobre w dłuższej perspektywie a niekorzystne w krótszej (ze względu na logikę demokracji częściej odwrotnie) lub obciążone licznymi niedogodnościami i ani czarne, ani białe, ale szare. Ani język naturalny, ani rzeczywistość nie pasują do klarownej sytuacji biegunowych przeciwieństw, wobec tego dokonuje się pewnych operacji ściśle językowych, mających wykreować jasne wartościowanie, choć tak naprawdę sytuacja opisywana słowem czy określeniami, którym przypisano pejoratywne odniesienia, może się niewiele różnić co do istoty od tej wyrażanej przy pomocy słów o aurze pozytywnej.

Polska publicystyka lat 90., zaangażowana po stronie procesu transformacji, dokonywała cudów, aby inercyjną rzeczywistość nazwać na nowo. Wszyscy pracownicy naukowci już się nauczyli, że złe słowo to „dotacja”, dobre – to „grant”, choć prosty eksperyment,

jakim jest sprawdzenie w słowniku angielsko-polskim może dowieść, że grant to to samo, co dotacja. Dotacja jednak ma w publicystyce stały zestaw frazeologicznych odniesień: „wyciąganie ręki po państwowe pieniądze” (czyli rodzaj żebractwa) lub „skok na kasę” (gorzej, bo chodzi o grabież, rozbój z bronią w rękę, w każdym razie – ciężkie przestępstwo). Kojarzy się z postawą roszczeniową, marnotrawstwem i brakiem zaradności. Grant ma natomiast dobrą aurę, jest nowoczesny i występuje w towarzystwie bardzo nowoczesnych słów jak „sponsor”, „fundacja”, „fundraising” czy „management” (co tam, panie, w managementie? Chińczyki trzymają się mocno!...). Management mało się oczywiście różni co do meritum od zarządzania, ale zarządzanie i zarządy mieliśmy w poprzedniej epoce, a managementu – nie było wcale, i to jest istota sprawy. Jak wiadomo myślenie esencjonalistyczne jest związane z przestarzałym paradygmatem, a prosta referencjalność języka została podkopana przez symulakry, więc istota sprawy może mieć więcej wspólnego z wewnętrzną logiką systemu niż z rzeczą samą w sobie, jaką jest kierowanie instytucją.

*Jest to jednak system, którego klarowność nieustannie podkopują gry języka naturalnego. Słowo „sponsoring” ma już swoje przygody i odkąd zaczął kursować eufemizm „szukam sponsora”, oznaczający propozycję płatnych usług seksualnych, lepiej ze sponsorin-
giem uważać. Podobnie słowa „marketing” czy „lobbying”, należące do zestawu modernizacyjnego, mają już za sobą występ w kilku aferach i stały się obciążone, łamiąc zasadę, że angielskie formy gerund niosą ze sobą wszystko, czego sobie życzymy, jak „monitoring” (w osiedlu) i „lifting” (niekoniecznie twarzy). W zasadzie można powiedzieć, że we współczesnym języku polskim imiesłowy dzielimy na czynne i bierne, współczesne i uprzednie oraz gerundy, których jest tak wiele, że trudno bez nich wyobrazić sobie porozumiewanie. Bo jakże tu pominąć na przykład „outsourcing”? To by było podzlecenie, ale słowo jest brzydkie fonetyczne. Albo czym zastąpić mobbing? Można by, mamy na przykład nękanie, dokuczanie i psychiczne znęcanie się. Ale nękanie i dokuczanie były zawsze, różnica polega na możliwości stosowania sankcji karnych.*

Zaczął się też ruch w drugą stronę, bo angielskie pierwowzory nie są naładowane pozytywną energią nowości. Przeniesione do polszczyzny różnią się tym od ich odpowied-

Wstęp

ników, czym niezwykle proszek do prania od zwykłego, albo mają się tak, jak modny ciuch od czegoś, co ma nogawki czy rękawy w odpowiednim miejscu, ale bez dobrej wszywki (czyli – logo) i pewnego niematerialnego naddatku. Ta atrakcyjność działa jednak krótko i już po sezonie następuje ostuchanie, przyzwyczajenie i wchłonięcie w system językowy. Wydaje się, że czas jednoznacznie pozytywnego oddziaływania angielskich zapożyczeń przypada na lata 90., gdy co prawda nie dało rady zmienić rzeczywistości z dnia na dzień, ale można było ją szybko nazwać inaczej. Teraz nawet dotacje i dopłaty wróciły, na przykład pod postacią dotacji unijnych, i trudno byłoby upierać się przy grantach skoro może być endowment albo subsidy, gdyż w angielskich tekstach słowa te występują równie często. Tłumaczyć z angielskiego na angielski, bo my lubimy, jak jest grant?

Wbrew pozorom transformacyjna zmiana językowa nie może być oceniana jednoznacznie jako manipulacja czy pusta podmiana. Niepozabawiona była absurdów, ale nieduże przesunięcia znaczeniowe, inna łączliwość zapożyczonych terminów ekonomicznych wymusiły ogromną zmianę wartościowania i myślenia, a przede wszystkim uwolniły od bagażu stereotypów z poprzedniej epoki.

Jezyk polski za to dysponuje niesamowitymi możliwościami nadawania pejoratywnego potencjału. Wystarczy określić pewien podatek jako „janosikowe”, a pewną grupę nazwać „wykształciuchy”, aby przytoczyć przykłady reprezentujące odmienne opcje polityczne. Pierwszy przykład pochodzi z „Gazety Wyborczej”, drugie słowo jak wiadomo wylansował Ludwik Dorn, choć autorstwo jest dość skomplikowane, może nawet Ibl-owskie. Roman Zimand przetłumaczył tak występujący u Solżenicyna rosyjski wyraz „obrazowyszczina”. W języku „Gazety Wyborczej” z lat 90. podobna grupa nazywałaby się professionals i nazwa miałaby oczywiście zabarwienie pozytywne. Pod spodem ukrywa się zaś pojęcie „inteligencja” – z wielu powodów dla publicystów i polityków niewygodne, bo ciągnące za sobą wyobrażenia o etosie, tradycję i rzeczywistość oznaczające pewną istniejącą grupę społeczną. Tymczasem do bycia „wykształciuchem” czy new professional najprawdopodobniej nie poczuwa się nikt, więc można dokonywać na tych pojęciach dowolnych operacji, ustawiać w pozycji „do bicia”, przypisywać różne wady i zalety, wedle życzenia.

Niestety, tylko na estetykę języka polskiego te zabawy nie wpływają najlepiej. Niewykluczone jednak, że bardzo rozwijają logicznie i umysłowo, wzbogacając przy okazji zasób słówek z angielskiego. Demokracja też ma swoją nowomowę.

Anna NASIŁOWSKA

Abstract

Anna NASIŁOWSKA

Institute of Literary Research, Polish Academy of Sciences (Warszawa)

Puns

In a media-oriented epoch, political action increasingly turns into wars of words expected to establish a closed system within which meanings are arranged into a distinct set of binary oppositions. An analysis of words that have newly appeared in public discourse over the recent twenty years leads the author to the conclusion that democracy has its newspeak, too.

